

## PRAWO CZY SPRAWIEDLIWOŚĆ?

Praw mamy dostatek, gdy dobrze poszukać, znajdzie się coś dla każdego. Cokolwiek kto czyni i kimkolwiek jest, musi co i rusz naruszać jakiś przepis. Wszyscyśmy są winni w rozumieniu prawa – to taka świecka wersja grzechu pierworodnego.

Parlamenty, rządy, resorty, województwa, powiaty i gminy – wszyscy coś codziennie piszą, a każdy obywatel ma to znać, i basta. Jest w tym jednak pewna dysproporcja, gdy jeden czytelnik musi naraz czytać prace tysięcy pisarzy i pod ciężką karą je zapamiętywać. A co tylko nieszczęśnik przeczytał, zaraz mu się zmienia, i już musi wracać do poprzednich lektur, kiedy zaś je czyta, coś mu znowu dopisują w miejscu, w którym dopiero co skończył studiowanie. Wygląda to tak, jak gdyby prawo uciekało przed obywatelem. Osobliwy berek.

Objętość prawa przerosła możliwości nie tylko przyswojenia, ale choćby przeczytania przez zwykłego człowieka, więc – z powodów czysto fizjologicznych – większość praw to prawa nieznanne. Kiedy zaś ktoś jest karany z nieznanym mu przyczyn, na podstawie przepisów, których zawczasu znać nie mógł, to czym się to różni od zwykłej tyranii, w której sprawiedliwość jest tożsama z nieprzewidywalnym kaprysem despoty?

Władza tworzy przepisy, nakładając na nas różne obowiązki i grożąc sankcjami – od odebrania mienia przez odebranie wolności aż po odebranie życia. Sankcji tych można uniknąć – albo gdy się komu jakimś trafem udaje nie wchodzić w kolizje prawami, choć ich znać nie może, albo gdy się skrywa przed instytucjami państwa, chociaż te są wszędzie. A kogo już państwo dopadnie, ten się nie może zasłonić nieznaną prawami, bo znać prawo i być mu posłusznym to pierwszy obowiązek obywatela, za którym dopiero stają i z którego wynikają wszystkie inne.

Ile jest tych przepisów, które trzeba znać? To trudno ustalić. Żadna instytucja państwa nie ogłasza listy praw powszechnie obowiązujących ani też nie zlicza ich objętości. Musimy się oprzeć na danych pośrednich oraz pewnych oszacowaniach, które oczywiście zawsze będą obarczone jakimś marginesem błędu. „Na szczęście”, uzyskane wyniki okazują się tak szokujące, że gdyby nawet były wielokrotnie przeszacowane, to i tak wskazywałyby, że polski system prawny dawno i trwale przekroczył granice sprawiedliwości, praworządności czy nawet zwykłego rozsądku.

Dostępny na rynku największy i zapewne najbardziej kompletny polski system informacji prawnej zawiera, według stanu na początek roku 2006, przeszło 180 tysięcy obowiązujących w Polsce samodzielnych aktów prawnych różnej rangi, mających swe źródła w następujących publikatorach:

7,9 tys. – w Dziennikach Ustaw i Monitorach Polskich,

5,7 tys. – w Dziennikach Urzędowych wszystkich resortów,

5,6 tys. – w Dziennikach Urzędowych Unii Europejskiej serii L i C,

160 tys. – w Wojewódzkich Dziennikach Urzędowych wszystkich województw.

Czy to znaczy, że każdy z nas musi przeczytać przed osiągnięciem pełnoletniości jakieś 180 tys. książek? No, książek to może nie. Owszem, bywają akty prawne rozpisane na wieśset stron, ale też bywają kilkustronicowe. No, ale gdyby średnio przypadało, powiedzmy, dwadzieścia stron druku na jeden akt, to i tak mielibyśmy parę milionów stron do przeczytania. Dość dużo.

Aż tak źle na szczęście nie jest. Prawo miejscowe dotyczy szesnastu województw, z tych więc 160 tys. aktów prawnych, średnio na województwo przypada tylko po 10 tysięcy. Kto więc nie wystawia głowy poza jedno województwo, temu wystarczy znać marne 10 tysięcy przepisów, kto zaś lubi podróżować, ten powinien dużo czytać. Z drugiej strony, nie wszystkie prawa miejscowe dotyczą każdego, przyjmijmy więc, że przeciętnemu obywatelowi wystarczy znajomość jakichś dwóch-trzech tysięcy praw jego województwa i może podobnej liczby praw innych województw. Razem jakieś 4-6 tysięcy przepisów.

Prawo europejskie w dużej mierze odnosi się do działań państw, gospodarek czy organizacji. Znaczna część z 5,6 tys. europejskich aktów prawnych nie dotyczy bezpośrednio obywateli. Przyjmijmy zatem, że trzeba znać niewiele ponad trzecią część tych praw, jakieś dwa tysiące sztuk.

Dzienniki urzędowe publikują tak zwane prawo resortowe, najczęściej nie obowiązujące powszechnie, choć z tym różnie bywa, bo często prawo resortowe uszczegóławia lub objaśnia prawa powszechnie obowiązujące. Inne jednak prawo resortowe będzie interesować księgowych, inne rolników, inne lekarzy, inne zaś kierowców albo właścicieli domów, można przyjąć, że przeciętnemu człowiekowi powinna wystarczyć znajomość niewielkiej części tego prawa. Dla ustalenia uwagi, przyjmijmy, że jest to góra tysiąc aktów prawnych.

Monitor Polski publikuje w większości nie prawa, lecz różne zapisy proceduralne, a jego roczna objętość to marne 2-3 tysiące stron, których raczej czytać nie trzeba. Ustaw i rozporządzeń, zawartych w Dzienniku Ustaw, jest wielokrotnie więcej, ale i one nie muszą obowiązywać wszystkich, chociaż mogą, i to czasem niespodzianie: bo przecież i górala może dopaść prawo morskie, kiedy jest na wczasach, a i bezrobotny nędzarz może wpaść w szpony prawa gospodarczego, kiedy jakiś urząd uzna jego buszowanie po śmietnikach za biznes. Przyjmijmy ostrożnie, że z wszystkich obowiązujących ustaw i rozporządzeń wystarczy znać tylko 3 tysiące.

Razem daje to jakieś 10-12 tysięcy samodzielnych aktów prawnych – mniej niż dwa tysiące sztuk na rok nauki w szkole, raptem parę aktów prawnych dziennie, powiedzmy – po jednym na lekcję. Nic strasznego. Mogłoby się zatem здаwać, że gdyby zrezygnować z nauczania w szkołach czegokolwiek poza obowiązującymi przepisami, to każdemu dziecku dawałoby się szansę, aby mogło w trakcie nauki szkolnej przeczytać, jakie będą jego prawa i obowiązki, gdy tylko dorośnie. Niestety, tak nie jest.

Prawodawcy nie śpią. Dziennik Ustaw stał się rzeczywiście gazetą codzienną, najgrubszą ze wszystkich. Ostatnie trzy roczniki Dzienników Ustaw prezentują się następująco:

2003 r.: numerów 232, pozycji 2342, w tym ustaw 226, stron 16449, 71 str. na numer,

2004 r.: numerów 286, pozycji 2889, w tym ustaw 241, stron 21032, 73,5 str. na numer,

2005 r.: numerów 267, pozycji 2260, w tym ustaw 199, stron 17610, 66 str. na numer.

To doprawdy niemałe wyzwanie dla obywatela: w każdy dzień powszedni przeczytać, przeanalizować: czy go dotyczą, i w większości zapamiętać siedemdziesiąt stron nowych

przepisów. Jeśli dodać do tego przepisy resortowe i miejscowe, to zmiany i uzupełnienia prawa, które trzeba na bieżąco przyswajać, można oszacować na prawie tysiąc aktów prawnych rocznie.

Nie wystarczałoby więc opanować w szkole, powiedzmy, ćwierć miliona stron przepisów, bo te, które uczeń poznał na początku szkoły, stawałyby się nieaktualne, kiedy miałby szkołę kończyć. Trzeba by więc zaraz zacząć studiowanie zmian prawa, które się pojawiły w ciągu dotychczasowej nauki, potem by trzeba poznać nowe zmiany zaistniałe w czasie studiowania zmian wcześniejszych i tak dalej – aż za którymś cyklem uda się doścignąć aktualny stan prawny. Cóż, wydaje się, że konieczna staje się nie tylko kompleksowa zmiana zadań szkoły, ale także wydłużenie obowiązkowej edukacji oraz przesunięcie progu pełnoletniości na jakiś 30-40 rok życia. Hm, niejako przy okazji byłby rozwiązany problem bezrobocia...

Nadmiar prawa stwarza bezprawie, a państwo czyni barbarzyńskim. Winien jest każdy, kogo dostrzegą służyć prawa, bezpieczny jest tylko ten, kto złoży ofiarę kapłanom Temidy – taki to model sprawiedliwości. Decyzje urzędów czy wyroki sądów mogą brzmieć nieomal dowolnie, bo w tej płataninie na każdą sentencję da się znaleźć przepis, zresztą zwykle na jej zaprzeczenie – też. Zdarza się zatem, że zbir, który skatował człowieka, odpowiada z wolnej stopy, a jego pobita ofiara siedzi w areszcie, bo leżąc w szpitalu, nie zdążyła odebrać wezwania do sądu. Bywa i tak, że biedak, co jechał pociągiem na gapę, jest więziony miesiącami, a magnat, co tego i tysięcy innych biedaków pozbawił majątku i pracy, zostaje bezkarny, bo mu sprytni adwokaci znajdują przepisy paralizujące pracę sądu czy prokuratury.

Przed takim „państwem prawa” może nas chronić tylko mimikra: obywatel musi pozostawać niedostrzegalny dla aparatu państwa, a zwłaszcza dla wymiaru sprawiedliwości, nie drażnić możniejszych od siebie, nie budzić zawiści biedniejszych, nie prowokować pieniaczy. Nie ma też większego sensu czytanie przepisów, bo i tak życiem codziennym rządzi raczej zwyczaj niż poszczególne instytucje, a nawet pojedynczy biurokraci, stosują własne mutacje prawa. Tak być zresztą musi, skoro każdy zna i stosuje tylko część przepisów, ten jedną, ów drugą, a całości, jako już się rzekło, nie może znać nikt.

Żeby prawo nie urągało sprawiedliwości, trzeba by je przykroić do ludzkich rozmiarów. Można by na przykład określić jakiś okres przedawnienia ustaw, żeby je sejmy musiały potwierdzać co ileś tam lat, można by też ograniczyć konstytucyjnie objętość publikowanych corocznie przepisów, a najlepiej, gdyby całe prawo było książką o raz na zawsze ustalonej objętości, niechby i tysiąca stron, a prawodawca, gdyby coś chciał dodać, coś innego musiałby usunąć. To jednak niestety utopia, na dowód czego przytoczę tu słowa, które 500 lat temu napisał mąż święty i światły – Tomasz Moore:

„Praw mają bardzo mało, a jednak wystarczają one przy ich urządzeniach. To właśnie zarzucają mieszkańcy Utopii innym narodom, że mimo wielkiej ilości kodeksów zawierających ustawy i komentarze, nie można u nich utrzymać ładu. Utopianie sądzą, że wielką niesprawiedliwością jest krępować ludzi prawami, których za wiele jest, aby można je było przeczytać, lub zanadto są ciemne, by ktoś je mógł zrozumieć. Dlatego w Utopii nie ma żadnych adwokatów, którzy przebiegle bronią spraw i chytrze tłumaczą ustawy.”

Zaiste, utopia.

2006

**MCH**